

Agata Wieczorowska

POSTSCRIPTUM Z PÓR ROKU

GOSIA I MAREK

Marek. Z Markiem klóci się całymi dniami, co dzień. Woła na niego „Marek, chodź tu” i „Marek zapnij mi” albo „Marek, weź mi przynieś”. I Marek przychodzi i zapina, i przynosi. Północ. I jeszcze Marek jest wołany, potrzebny, żeby zapiąć, przytrzymać, wyjąć, przynieść.

Kiedy gaszą światła, w mieszkaniu zalega cisza. Czas sunie bezgłośnie po taflি zegara i słyhać tylko miarowy oddech wskazówki sekundnika. Słyhać, jak Marek i Gosia się całują. Wilgotne cmoknięcia o czarne płótno nocy. Słyhać, jak się obejmują, jak kołdra zagina się i szeleści, profilowana przez ich ciała, rzeźbiona przez ich ruchy.

Może ten Marek, który co dzień chodzi ze zwieszoną głową i gapowatą miną, kiedy gasną światła, przestaje być Markiem? Staje się abstrakcyjną ideą, ideą kochanka na tle hebanu nocy, ubranej w diamenty gwiazd. Może szlachetnie i dostojnie wraz z nocą. Może kiedy zamykają drzwi do swojego pokoju i gaszą światło, Gosia i Marek przestają być Gosią i Markiem, a stają się abstraktami rzuconymi o przestrzeń ciszy i czasu?

Gosia. Gosia zawsze mówi „no co ty?”, cokolwiek by się nie powiedziało. „No co ty?” i przeciąga swoją kwestię na ostatnim „y”. „Strasznie dziś wieje”, mówię, „wiatr zagląda ludziom do kieszeni, wydyma płaszcze, kradnie szaliki, brutalnie wyrywa parasole z rąk”. „No co ty?” Tyle. I zdziwienie dużych, okrągłych oczu.

Gosia ma zawsze włosy wyprostowane na prostownicy. Kiedy mówi „no co ty?”, jej włosy są gładkie i sprężyste, jak obiecuje producent prostownic. Obiecuje i Gosia się nie dziwi, przeciąga wprawnym ruchem pasma włosów między ceramicznymi płytkami. Przeciąga, a jej włosy wychodzą spod płytek jeszcze ciepłe i miękkie w dotyku, gładkie i sprężyste.

Marek. Marek nie patrzy na mnie, kiedy do niego mówię. Może dlatego, że nie jestem tak piękna jak Gosia? Nie mam jej okrągłych oczu i włosów, gładkich i sprężystych. Marek zna chyba tylko mój głos. Redukuje mnie do wibracji moich strun głosowych w powietrzu. Marek mnie nie zna, zna tylko dźwięki, które rzucam w przestrzeń nas dzielącą, w pustkę zawieszoną między nami. Zna moje czasowniki i rzeczowniki. Z Markiem jestem skąpa w przymiotniki. Żałuję mu przymiotników, jakby miał nie zrozumieć, zapomnieć, przeinaczyć.

Nie jestem Gosią, nie mam jej okrągłych oczu i włosów, gładkich i sprężystych. Swoje słowa rzucam w przestrzeń między nami jak ciężkie kamienie. Moje czasowniki, moje rzeczowniki i okazjonalne przymiotniki. W tej przestrzeni, pełnej słów jak worek kamieni, trwa zawieszony strach Marka. Strach Marka przede mną, przed nieznanym, przed przymiotnikami.

W NASZYM BLOKU

Ściany mojego pokoju. Ściany mojego pokoju wpatrują się w siebie nawzajem. Przeglądają się w sobie jak w lustrze. Bliźnięta przestrzeni. Ściany mojego pokoju, kiedy gaśnie światło, powtarzają wszystkie przymiotniki świata we wszystkich istniejących językach. Stękają, rzeżą, mruczą, szepczą swoje kwestie, powtarzają słowa, rzucają je o ciemną przestrzeń jak oskarżenia.

Nie mogę spać. Ściany ciskają przymiotnikami. I nie mogę spać. Kolejne porcje. Przymiotniki od ściany do ściany. Zasypiam, zasypiam na posłaniu z przymiotników japońskich, włoskich, niezliczonych, kazachskich. Nie boję się, znam je, znam je już od dawna.

Mój chłopak. Zdejmuję mu koszulkę. Na jego bladym ciele rysują się cienie przymiotników, odbite od ścian mojego pokoju. Mój chłopak w moim pokoju. Zdejmuję mu koszulkę i oglądam jak słownik. Wodzę ręką po przymiotnikach oplatających jego ciało. Zdejmuję mu koszulkę i widzę jego odstające łopatki, a na nich przymiotniki jak oskarżenia. Jego chude plecy pokaligrafowane we wszystkich istniejących językach świata.

Mój chłopak nie musi zabijać ciszy, żeby coś powiedzieć. Wystarczy, że zdejmie koszulkę, a jego wątłe ciało krzyczy do mnie wszystkimi istniejącymi językami świata. Nie musi zabijać ciszy, wystarczy, że zdejmuję mu koszulkę, a jego łopatki odstają jak końce szpad, skierowane w niemą przestrzeń. Gasimy światło, jego ciało uwalnia się od przymiotników. Przymiotniki spływają na czarną ciszę. Cisza potężnieje. Po omacku szukam odstających łopatek mojego chłopaka.

Zimno. Zewsząd zimno. Zimno przenika do wnętrza mojego ciała. Zimno wypełnia mi żyły, kości, szpik. Staję się zimnem. Nie czuję już senności, nie czuję pośpiechu, pędu, żeby zdążyć, żeby prześcignąć samą siebie, zanim dzień na dobre się zacznie. Rzęsiste dreszcze przebiegają mi wzdłuż kręgosłupa. Powietrze redukuje mnie do zimna. Wychodzę spod

prysznicą, drżąca, zmieniona. Jest szósta piętnaście. Listopad. Szara smuga poranka wylewa się na mieszkanie. Zimno nosi moje imię.

Babcia Z Dołu. Babcia Z Dołu, która zawsze skądś spada i którą bolą wszystkie kości. Babcia Z Dołu, która nigdy nie sypia po nocach. Nigdy nie sypia, bo „budzi mnie każdy dźwięk”. Nie spała tej nocy. Nie spała, a nie słyszała, jak całą noc porządkowałam książki, układałam na podłodze wielkie stosy i sortowałam książki. Według kolorów, według wielkości. Wysokie stosy spadały na podłogę z hukiem i rozsypywały się na śliskiej terakocie niczym talia kart. Babcia Z Dołu nigdy nie sypia. Nie słyszała potężnych huków. Nie słyszała, a nigdy nie sypia.

Firanki. Wieszam firanki Babci Z Dołu, ciężkie, mokre płachty pachnące proszkiem do firan. Zapach świąt rozlewa się w powietrzu jak powódź. Rozwieszam mokre firanki. Strych pachnie starym drewnem i starymi meblami. Babcia Z Dołu mnie instruuje. Mówi, pokazuje, pokrzykuje. Żeby nie dotknąć podłogi! Żeby nie dotknąć podłogi! Nie dotykam podłogi firanką. Firanka jest świętością.

Zapach świąt rozlewa się w powietrzu jak powódź. Babcia Z Dołu nazywa mnie imionami, których nie noszę. Ubiera mnie w imiona, które nie są moje. „Ulcia, tylko nie o podłogę”. „Gosia, tylko nie o podłogę”. „Mareczku, tylko nie o podłogę”. I jestem Ulą, Ulą, która wyprowadziła się rok temu. I jestem Gosią, mówię „no co ty?” i dziwię się. I jestem Markiem, nie patrzę na Babcie Z Dołu, jak do mnie mówi.

Nie dziwię się. Jestem swoimi rękoma przewieszającymi mokrą firankę przez linkę. Zapach świąt rozlewa się w powietrzu jak powódź. Firanka nie dotyka podłogi.

Marek, byłam Tobą. Przez chwilę byłam tobą, jak ciebie nie było. Jak ciebie nie było, ja byłam tobą. Marek na mnie nie patrzy. Marek jest swoją stopą uderzającą o powietrze kapciem. Jestem tym, kto był Markiem. Idę do pokoju poszukać swoich przymiotników.

BIAŁE SPACERY

Mgła. Nie wiedziałam, że takie piękno zamieszkuje miasto. Że w jesienne noce spowija swoją mglistą płachtą chodniki i ulice. Kwaciarnie i księgarnie. Księgarnie i kawiarnie. Mgła maluje miasto na nowo, maluje miękkością wiatru, mydlaną poświatą ciszy. Miasto zapada się we mgle, jak można zapaść się w starym fotelu. Idę przez cienie chodników, mijam cienie budynków, idę przez park cieni. Miasto odrywa się od konkretności geografii i staje się białym

abstraktem piękna zawieszonym w przestrzeni. Idę przez alejki, które nie mają początku i końca. Kwaciarnie i księgarnie. Księgarnie i kawiarnie. Wisła. Wisła nie jest rzeką, jest bezmiarem wodnym, który istnieje w miejscu, nad którym stoję. Istnieje, bo tu stoję.

Łabędź. Łabędź sunie po rozmytej tafli. Łabędź, król bieli. Sunie powoli, z dostojeństwem godnym chwili mgły. Sunie przez białe królestwo, jakby nosił w sobie zakłęcie przemieniające miasto w sanktuarium poświęty. Jakby nosił w sobie zagadkę, która przemienia wszystkie rzeczy w sublimacje piękna. Łabędź sunie dostojnie. Pochyliła głowę, na długiej szyi. Sunie z dostojeństwem. Pochyliła głowę i wygląda jak klucz wiolinowy namalowany mgłą na tafli rzeki. Klucz wiolinowy białej ciszy.

Tylko liść, który spada z drzewa, lawirując między mglistym powietrzem a mglistą ziemią, przecina swoim brzegiem jak brzytwą rozmytą biel przestrzeni. Upada w ciszy, brakujący element milczącego piękna.

Jesienne litanie bieli kończą się o świcie. Otwieram oczy i widzę dogasający spektakl. I nie wierzę, że to jedno i to samo miasto, w południe ponure i brudne, i zakurzone, zabiegane i chciwe, kradnące czas, kradnące *mi* czas, potrafi przemienić się w czysty abstrakt piękna namalowany akwarelą mgły. Zamykam oczy i myślę, i jestem fragmentem mgły.

W noc bieli każda puszka leżąca obok kosza przepełnionego innymi puszkami jest ubielona do cna piękna. Z kosza, niczym z wazonu, wysypują się powodzie kształtów, zmiękczonej bielą przestrzeni. I każdy liść i każda puszka, i każdy pet leżący na ziemi jest koniecznym uczestnikiem białego spektaklu. I ja jestem fragmentem mgły.

SPOTKANIE, CO GO NIE BYŁO

Płot. Co rano idę wzdłuż płotu. Rzędy desek skierowane w niebo. Robotnicy malują deski, rzędy desek na zielono. Pokrywają starą zieloną farbę świeżymi pionowymi pociągnięciami pędzla. Idę wzdłuż płotu. Robotnicy krzyczą „Ruda!”. Jest poniedziałek. Idę wzdłuż płotu. Robotnicy krzyczą „Ruda!”. Jest wtorek. Idę wzdłuż płotu, „Ruda!”. Środa, płot, „Ruda!”. Idę wzdłuż płotu. Jest czwartek. Wiatr rozwiewa moje świeżo umalowane na ciemny kasztan włosy. Robotnicy krzyczą swoje: „Ruda, ruda!”.

Wracam. Wracam przez tunel mgły w czarnym sercu nocy. Wracam przez szary tuman mgły, który nie nosi żadnego imienia. Krok za krokiem. Myślę. Tak bardzo chciałabym, żeby moje

myśli spadały jak strugi deszczu, jednocześnie na wiele rzeczy. Żebym ogarniała swoim umysłem ogrom mojego istnienia za jednym razem, jako całość.

Tu, w bezimiennym korycie mgły, idę. Krok za krokiem. Spotykam Marka, Marka nocą. Marek przestaje być sobą nocą. Noc nadaje mu nowe, nieznane mi imię. W rozmigotanej chmurze mgły nie widać moich przymiotników. Nie mogę określić Marka, nie mówię w żadnym znanym języku. Jestem abstraktem rzuconym o mglistą przestrzeń. Nie mamy imion. Spotykamy się w bezimiennej mgle, nad rzeką, której dzienne imię zapomnieliśmy. Stoimy bezimienni. I tu bezimienny Marek kurczy się do małej zielonej kuleczki. Biorę go w kieszeń. Mała zielona kuleczka nosi na sobie skroploną przestrzeń mgły. Jest zimna. Idę dalej. Krok za krokiem.

Gosia. Gosia śpi. W koronkowym staniku, na kwiecistej poduszce. Śpi. Nie wie, że śpi. Kładę małą zieloną kuleczkę na poduszce obok jej głowy. Pod prysznicem strugi wody ze słuchawki przywracają mi przymiotniki. Woda kryje w sobie przymiotniki wszystkich języków świata. Przymiotniki przenikają przez moją skórę do wnętrza mojego ciała. Uczę się słów na nowo. Uczę się języków na nowo. Boli mnie ta noc zapomnienia i przypominania. Na nowo. Wciąż na nowo.

Gosia. Gosia wyciąga patelnię z szafki. Nie dowie się o spotkaniu ubiegłej nocy. Brzęk garnków. Nie dowie się o spotkaniu ubiegłej nocy. Zatrząskujące się drzwiczki. Wiecznie niedomknięte, wypaczone drewno. Zapala palnik. *Zgrzyt.* Bucha płomień. Nie dowie się o spotkaniu ubiegłej nocy. Gaśnie. Jeszcze raz. I bucha płomień. Gosia stawia patelnię na palniku. Inny brzęk. Płaski i o niższym tonie.

Gosia składa się dziś tylko z dźwięków. Siedzę w swoim pokoju. Słyszę jej dźwięki. Widzę jej dźwięki. Nie dowie się o spotkaniu ubiegłej nocy. Nie mamy z Markiem słów, którymi moglibyśmy o nim opowiedzieć. Ubiegłej nocy nie mówiliśmy w żadnym języku. Marek nie jest już małą zieloną kulką. Już przychodzi, przynosi, podaje, kroi. Jest wołany, jest pytany. W ustach ma słowa.

Cisza. Jestem Ciszą. Siedzę w moim pokoju. Usta mam puste. Nie mam słów. Jestem Ciszą. Mój cichy, miarowy oddech odbija się od ścian pokoju, porusza wskazówką sekundnika. Kiedy wstrzymuję oddech, czas się rozmywa, jak słabnąca smuga dymu. Świat kończy się na ułamki sekund. Gdybym przestała oddychać, nastąpiłby koniec świata. Jestem Ciszą i siedzę w swoim pokoju. Oddycham. Oddycham i zbawiam świat.

Zima jest ogromna i rozłożysta. Różowawe malwy o miękkich płatkach rosną w mojej pamięci, pod oknem domu mojej babci.

Śnieg. Śnieg rozbija się o okno jak chmara białych motyli. Gosia siedzi przy stole w kuchni, wpatruje się w nadciągającą zza szyby falę bieli. Gosia nie może wyjść. Jest chora. Nie może wyjść chora, bo zamarznie. Gosia nigdy nie wyjdzie z mieszkania ubrana inaczej niż idealnie. Gosia zawsze wygląda, jakby wycięto ją z żurnala. I to nie ze środka, ale ze śliskiej, kolorowej okładki. Gosia zawsze ma umalowane paznokcie pod kolor ubrań, które ma na sobie. Gosia zawsze wygląda jak wycięta z żurnala.

Dla mnie jest wycięta z kontekstu. A mieszkam z nią dwa lata. Siedzi zmarznięta i modna przy stole w kuchni. I nie wiem o niej nic, poza tym, że widzę, jak siedzi zmarznięta i modna przy stole w kuchni. I nie wiem, skąd przyszła ani co myśli. Wiem, że jest chora, wiem, skąd czerpie modowe inspiracje.

Zima ogromnieje. Poranki należą tylko do niej. Co rano rozświetla mi okno kulą Słońca na tle nieprzyzwoitej niewinności bieli. Boję się zimy. Tak łatwo wyobrazić sobie ten biały, nieskazitelny śnieg zalany krwią.

Idę przez zasy do sklepu. I raz po raz zamykam oczy, żeby nie oszukały mnie wśród splendoru śniegowej fatamorgany. Tak łatwo jest zbrukać śnieg krwią, tak łatwo przełamać chłodną biel gorącą czerwienią. Tak łatwo przychodzi wyobrażanie sobie krwi na każdym skrzyżowaniu, kiedy się czeka na zmianę świateł i nie ma co robić, a wkoło tylko biały spektakl. Wolę już swoje gry z przymiotnikami niż potencjalne morderstwo zimy.

Lato. Lato potężnieje w mojej głowie. Jest moim jedynym marzeniem. Wypełnia mnie całą. Jestem latem, nazywam się Lato, przyszedłam na świat 21 czerwca. Jestem zodiakalnymi Bliźniętami. To był ostatni dzień zodiakalnych bliźniąt.

Lato i mój chłopak. Jeszcze przechowuję go w pamięci. Raz po raz pojawia się w moich wspomnieniach, jak duch. Już boleśnie nieadekwatny. W moich wspomnieniach kocham go. W moich wspomnieniach trzyma mnie za rękę. Daje mi swoje przymiotniki, daje mi swoje słowa. Jego słowa płyną z jego ust do moich ust, moje usta przyjmują jego słowa splecione w

pocałunku. Składam się z jego słów. Jestem taka, w jakie słowa mnie ubierze. Staję się zupełnie taka, jak mnie określi. Przeklęty twórca.

W moich wspomnieniach nadal go kocham. Kiedy zamykam oczy, a okno szturmują białe śmy zimy, widzę go latem. Mój chłopak, latem, w starym domku nad jeziorem. Mam na sobie zwiewną sukienkę i biały słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Mój chłopak ubrał mnie swoimi słowami. Jestem bosa. Ubrana w jego słowa. Biegam po łące przylegającej do domu z siatką na motyle. Słyszę swój letni śmiech odbijający się echem po wewnętrznej stronie mojej czaszki, jakby chciał wydostać się na zewnątrz. Moja głowa jest klatką dla lata. Moja głowa nie może ścierpieć lata i ciągłego wspomnienia. Łapię motyle. Słońce zawiesza się w powietrzu. Łapię motyle i Słońce.

Motyle. Oglądamy motyle. Mój chłopak pieści martwe motyle najpiękniejszymi przymiotnikami. A gdy wszystkie przymiotniki cichną, osuwają się na podłogę i słabną, mój chłopak milczy. Milczy. Stoimy w pustce słów. Nie mam żadnych wyrazów w zanadrzu. Nie mam nic w kieszeni. Nie mam kieszeni. Mój chłopak rozbiera mnie ciszą z sukienki. Milczy. Nie nazywa mojej sukienki. Milczy. Sukienka rozpływa się w powietrzu. Milczy. Mój kapelusz rozpływa się w powietrzu. Drzę. Na całym ciele. Boję się, że jeśli będzie milczał jeszcze chwilę dłużej, zniknę i ja. Nie znikam, znów karmię się jego ustami pełnymi słów.

Słowa. Mam jego słowa w mojej głowie, w moich ustach, na moim ciele. Nie mogę spać. Co noc Noc czyta mi szeptem jego słowa, które zostawił na moim ciele. Co noc, wszystkie po kolei, jedno po drugim. Znam je na pamięć. Znam szepty Nocy, znam ich autora.

ŚWIAT KSZTAŁTÓW

Kształty. Mieszkam w świecie kształtów. Białe i kolorowe, okrągłe i podłużne, wesołe i eleganckie. Jestem chora i żyję w świecie kształtów. W świecie kapsułek tranu, pigułek witaminy C, pastylek na kaszel, tabletek z wyciągiem z czosnku. Mój świat zredukował się do małych kształtów, które mogę zgnieść w dłoni.

Jestem chora. I mogę spać. Szepty nocy zagłusza mój kaszel. Mogę spać. Śpię i kaszlę. Jednocześnie. Noc mnie nie poznaje. Nie poznaję swojego głosu, a jednak nadal jestem. Jestem czymś zachrypniętym głosem. Mogę być głosem rockowego artysty.

Przychodzi mój chłopak. Zagubiony w czasie i przestrzeni, urwany z zakrętu ubiegłego tygodnia, zaplątany gdzieś między piątkiem a sobotą. „Po co przychodzisz” – pytam. „Jesteś chora” – odpowiada. Nie pamięta już kłótni, nie pamięta zmiętych przymiotników, które rzucaliśmy w siebie jak oskarżenia, nie pamięta huku zatrzasniwanych drzwi i porcelanowych figurek ciskanych za nim przez okno? Nie pamięta śniegu podziurawionego odłamkami porcelany?

Nie pamięta, jak ściany mojego pokoju wykrzyczały sekret małej zielonej kuleczki? Przychodzi jak latem. Mój. Mój. Mój. Obejmuje mnie, odstają mu łopatki.

Jestem chora. I żyję w świecie kształtów. Moim ulubionym jest krzywizna pleców mojego chłopaka, kiedy śpi na boku, kiedy jedna łopatka wysuwa się bardziej i wygląda jak złamany kikut skrzydła. Przymiotniki zamierają mi na ustach, nie chcę go obudzić, określając.

Nie mogę spać. Mój chłopak poszedł, a ja nie mogę spać. Noc nie czyta mi już szeptem jego słów z mojego ciała. Noc przechadza się po pustym pokoju pachnąca perfumami mojego chłopaka. Ściany szepczą przymiotniki. Operują wszystkimi znanymi językami świata. Jestem zdrowa i porzuciłam świat kształtów. Leżę i myślę o lecie. Myślę, jak bardzo chciałabym zamienić ślepe płatki śniegu na wiosenną paradę motyli. Chciałabym, żeby przez moje sny przefruwały całe szeregi motyli. Ale nie śpię. Ale przecież nie śpię.

No co ty? Gosia siedzi przy stole w kuchni. Pędzelek z pastelowo fioletowym lakierem zastyga w powietrzu. Połowa drogi między stołem a dłonią. „No co ty?” Gosia nie może zrozumieć, że mój chłopak to znowu mój chłopak i że do mnie przychodzi. Gotuje potrawy, które gdy tylko je nazwie, nabierają smaku. Gosia nie nazywa swoich lakierów. Dla mnie wszystkie są takie same. Pozbawione sensu. Nie mają imion. Nie chcę strzepić na nie swoich przymiotników.

[Tort] Zjadam [tort]. Nie nazywam go na głos. Nie nazywam kremu, z którego się składa, w którym ma zatopione bakalie. Nie nazywam polewy czekoladowej wysadzanej orzechami niczym klejnotami, nie nazywam orzechowych boków, które układają się w najwymyślniejsze mozaiki. Zjadam wszystko. I mówię, jak dobre były brokuły, jak smaczna marchewka i że groszek świeży. Gosia się dziwi. Idę do łazienki. Patrę w lustro i mówię do tej po drugiej stronie. „Ale jestem szczupła” – mówię. Mówię i jestem. To będzie dobry dzień.

Noc nie daje mi spać. Dzień nie daje mi zapomnieć o nocy. Siedzimy naprzeciwko siebie w kuchni przy stole. Pamiętam twoje oczy, niebieskie, rozmarzone. Pamiętam nasze wiosenne spacerunki, nasze juwenalia sprzed dwóch lat, nasze niekończące się noce nad rzeką. Tamte noce jeszcze się nie skończyły, jeszcze trwają.

Pamiętam twoje oczy, kiedy patrzę na ciebie. Pijemy herbatę. Częstouję cię herbatą i ciastkami, bo nie mam nic lepszego do zaoferowania. Na talerzyku, obok delikcji z Lewiatana, leżą kłamstwa. Częstoujesz się, czym chcesz, do woli.

Herbata jest ciepła, zdaje się nie być zrobiona z wrzątku i torebki, zdaje się być częścią kubka. W herbacie razem z cytryną pływają nasze znaki zodiaku. Boję się twojego Barana, boję się jego mocy.

Patrzę na ciebie, nie masz odstających łopatek, a Baran tak dobrze na tobie leży. Boję się. Siedząc w ciepłej kuchni, wspominając nasze juwenalia, nasze spotkania nad rzeką, nasze rozmowy do gwiazd, boję się twojego Barana. Kiedy wychodzisz do łazienki, zamieniam kubki.

I nawet nie wiesz, co wydarzyło się w tę noc, nie wiesz, co wydarzyło się w noc, kiedy spotkałam Marka, który nie był Markiem. Nie widywaliśmy się wtedy. Opowiem ci.

Noc, która nie była nocą. Potrzebowaliśmy czasu, tam nad Wisłą, która nie była Wisłą, ale wijącą się wstęgą wodnego abstraktu. Potrzebowaliśmy czasu i czas przystanął, żeby się nam przyjrzeć. Czas zatrzymał się i mgła zgęstniała, zakrywając nas całkowicie, wypełniając nasze kieszenie, zagięcia w naszych płaszczach. Wiatr wziął głęboki oddech i go nie wypuszczał. Gwiazdy nie gasły i nie zapalały się. Łabędzie na rzece zamieniły się w nieruchome figurki. Czas po prostu zatrzymał się, a wszystko wokół zdziwione, zatrzymało się też, nie mogąc nadziwić się, i wpatrywało się w Czas, który wpatrywał się w nas.

I nawet nie wiesz, jak było nieść z powrotem Marka w kieszeni. Małą zieloną kuleczką. Potem miałam okrągłe siniaki, co wyglądały jak podkrążony Księżyc, w miejscu, gdzie Marek, będący małą zieloną kuleczką, obijał się o moje udo, przez kieszeń płaszcza, kiedy szłam do domu.

Nie wiesz. Wracasz z łazienki. Sięgasz do kubka z herbatą, z herbatą, która jest przyklejona do kubka, która jest jego integralną częścią. To ja jestem teraz Baranem. A ty nosisz moją tajemnicę.

Koc. Jestem zawinięta w koc. I chciałabym nie czuć, że mam ciało. Chciałabym nie mieć dziś ciała, móc je porzucić. Chciałabym móc przechadzać się jesiennymi uliczkami mojego rodzinnego miasteczka, z kieszeniami wybrzuszonymi od żołądzi. I iść do zoo. I patrzeć, jak dziki cieszą się z żołądzi szczęściem tak wielkim, że niepojętym dla ludzi. Chciałabym mieć na szyi pachnący szalik. Chciałabym mieć na paznokciach trochę starty lakier, czerwony. Chciałabym wpisać się w jakiś kontekst. Wracaliśmy ze szkoły i poszliśmy z Ewą po żołądzie. Miałyśmy czas, miałyśmy mnóstwo pięknego jesiennego czasu.

Chciałabym nie być teraz zawinięta w koc i nie wpatrywać się w pustkę zmarłej nocy. Chciałabym nie czuć dreszczy przebiegających kaskadami przez moje ciało. Chciałabym, żeby zima się skończyła, żeby skończyły się zaspasy i przeziębienia. I poranki, które zastają mnie pół martwą, pół chcącą śmierci.

Chciałabym biegać po mazurskim molo w moim pasiastym kostiumie kąpielowym. W moich dużych czerwonych okularach, w moim kapeluszu. Chciałabym mieć stopy oklejone piaskiem, który przywarł do nich, gdy jeszcze były mokre. Chciałabym mieć nieuczesane włosy, splątane wiatrem i mokre, z niteczką wodorostu ciągnącą mi się wzdłuż pleców. Chciałabym, żeby słońce nie miało chmur, za którymi mogłoby się schować.

Chciałabym biegać po molo i popychać moich przyjaciół, żeby wpadali do ciepłego jeziora, i śmiali się, i wygrażali mi pięścią. Chciałabym, żebym potem ja wpadła z pluskiem do jeziora. Z pluskiem dużym i głębokim. I woda leciałaby mi do nosa, i zmieniłoby się ciśnienie w uszach, że nic bym nie słyszała. Byłabym w jeziorze, łapałabym powietrze, a chciałabym złapać oddech. Śmiałabym się w przestrzeń, a ty patrzyłbyś na mój uśmiech.

A ty patrzyłbyś na mój uśmiech, tak jak patrzysz na mój zimowy upadek i nędzę. Przyjdź jutro, nie zarazę cię. Nigdy cię nie zarażam, jesteś Baranem, barany nie chorują. Uśmiech. Spojrzenie. Spojrzenie, uśmiech. Baran i Ryby. Drzwi się zamykają.

SPOD PIĄTKI

Noc potężnieje za oknem, ale ja o tym nie wiem – śpię. Mogę spać tylko na pograniczu wieczoru i nocy, a potem nocy i poranka. Kiedy noc jest zajęta przychodzeniem i odchodzeniem, nie ma czasu czytać mi przymiotników. Śpię. A Noc potężnieje i pęka za oknem jak tysiąc czarnych fajerwerków i opada w przestrzeń, matowa i zmięta. Nie ma nocy. Jest błąd świt. Budzę się. Przychodzisz.

Dziś chcę się wyleczyć, dziś chcę iść na lodowisko. Dziś znowu zamieniam herbaty, jak wychodzisz do łazienki.

Nowa Sąsiadka. Pod piątkę wprowadziła się Nowa Sąsiadka. Pod piątkę, z której pół roku temu wyniesiono obrzmiałe i spuchnięte ciało dziadka, który zmarł w wannie i leżał w niej cztery dni. A wtedy zapach zgnilizny i śmierci jak gęsty dym owionął klatkę schodową.

Nigdy nie widziałam wynoszonej przegniłej opuchlizny, która kiedyś była Dziadkiem Spod Piątki. Przechodziłam przez duszący odmět klatki schodowej, po wyniesieniu opuchlizny po Dziadku Spod Piątki. Na parterze stał dzielnicowy i pytał sąsiadów. I pytał. I pytał. I końca nie było pytaniami.

Szłam z kartonem książek z wyprzedazy. Na piąte piętro. I co piętro zatrzymywałam się, rzucałam karton z głuchym łoskotem na ziemię i biegłam do okna. Oddychałam powietrzem, życiem, wodnistym powietrzem dobywającym się wprost z niebieskiego nieba. Brałam karton i szłam przez kolejne piętro. I kolejne. I kolejne. I tak pięć razy. Pięć razy moje płuca zachłannie uczestniczyły w cudzie istnienia, celebrowały życie. Naturalny zapach powietrza z tamtego dnia to mój ulubiony zapach. Nie słodka woń malw, zapach nadchodzącego deszczu czy słonej bryzy morskiej we włosach. Ale zapach powietrza, samego w sobie, wodnistego i naturalnego.

Za każdym razem, kiedy myślałam o Nowej Sąsiadce, łączyłam ją nieodzownie z opuchniętą szkaradą Dziadka Spod Piątki. Myśląc o Nowej Sąsiadce, pamiętałam ten dzień, kiedy Zapach Spod Piątki wyszedł na klatkę schodową. Zawsze, dopóki jej nie poznałam. Poznałam ją trzy dni później.

Gabriela czyli Nowa Sąsiadka. Przyjeżdża z daleka. Ma włosy, które nie znają zachodnich trendów, nie znają salonów fryzjerskich i odżywki trzy w jednym. Nie znają prostownicy i suszarki z dyfuzorem, nie znają koloryzatorów i balsamów na bazie jedwabiu. Są to najpiękniejsze włosy, jakie przyszło mi oglądać. Spadają kaskadami na plecy, zaplątują się we

własnych falach i załamują w apetycznej miękkości brązu. Gabriela ma jakieś czterdzieści lat. Może więcej.

Na stole zamiast obrusu ma mapę Europy. Nie ma zasłon w pokojach. Mieszkanie pod piątką przemieniło się w kapsułę, do której ze wszystkich stron zaglądały niebo, chmury i Słońce. Gabriela podróżuje. Była w Nowej Zelandii, Paryżu, Kazachstanie, Australii, Kenii.

Nasze pierwsze spotkanie. Stawia kubki z brazylijską, parującą yerba mate na obrusie z mapy Europy. Mój kubek odbija się ciemnym, mokrym okręgiem między Mołdawią a Rumunią. Kiedy podnoszę kubek z mapy, mapa odkleja się powoli od brzegów kubka. Z cichym pyknięciem. Równy, ciemny okrąg na styku Rumunii i Mołdawii, zamykający w swoim polu rumuńskie Botoșani i Suceavę i mołdawskie Râșcani i Bălți. Są to dla mnie słowa punkty. Słowa punkty na mapie. Ciemne paciorki liter mistycznie zdobne rumuńskimi diakrytykami.

?

Telefon. Dzwonię do mojego chłopaka. Przez telefon nie mogę poczuć, że ma odstające łopatki. Jest płaski i nieswój, tylko przepływ przymiotników przez linię telefoniczną pozwala mi stwierdzić, że to on.

Ale on nie chce słyszeć o wyjeździe, broni się, trzyma się kurczowo słuchawki. Lawinowo wyrzuca z siebie przymiotniki. Głupie niedorzeczne bzdurne szalone niemądre pomyłone kretyńskie nieodpowiedzialne stuknięte szajbnięte pomyłone postrzelone opętańcze obłąkane szaleńcze trzepnięte pieprznięte. W odpowiedzi ma tylko przymiotniki, drzę i odkładam słuchawkę. Przychodzi mój Baran, pytam jego, mówię i zachęcam. Słucham i patrzę.

Patrzę, a mina mu spada podkówką w dół twarzy i staje się taki niebarani. Nie miałabym z kim zamieniać kubków herbaty. Przyszedł. Poszedł. Bez uśmiechu. Bez spojrzenia. Bez pożegnania.

Przyszedł. Przyszedł Marek. Opowiadam Markowi. Jak nigdy. Marek nie patrzy na mnie, jak zawsze. Boi się moich przymiotników. Marek nie odpowiada. „Gosia zaraz przyjdzie”. Marek nie odpowiada. „Gosia zaraz będzie”. Marek nie odpowiada. „Gosia już idzie”. Marek nie odpowiada. „Gosia już jest”.

Pakuje się. Pakuję, co mogę. Pakuję świt. Jest piąta rano. Na korytarzu czeka Marek. Z walizką. Z uśmiechem patrzy na mnie, jak nie patrzył nigdy. Nigdy nie widziałam Marka o świcie. Jest to inny Marek. W jego oczach jest coś z małej zielonej kuleczki. Wychodzimy bez słowa.

I Gosia zostaje ze swoim „no co ty?”, ze swoimi dużymi okrągłymi oczami, ze swoimi gładkimi i sprężystymi włosami. Nie wie, ale zostaje. I mój chłopak z odstającymi łopatkami zostaje ze swoimi przymiotnikami. I mój Baran zostaje z miną smutnej podkówki, niebarani i nieswój.

Marek patrzy na mnie znad swojego uśmiechu. Zastanawiam się, czy będę spać tam, dokąd pojedziemy.